

Szubienice, kaci i wisielcy, czyli złodziejski los w dawnej Polsce

15 października 2014

Wyobrażając sobie panoramę nowożytnego polskiego miasta, należy pamiętać nie tylko o jego basztach, murach oraz widocznych zza nich dachach kamienic i wieżach kościołów. Ważnym składnikiem tego krajobrazu była też zazwyczaj szubienica. I to bardzo często dźwigająca zwłoki skazańca.

Być może nie wyda się nam czymś niezwykłym, że zwyczajowo miejsca wieszania skazańców znajdowały się zawsze poza obszarem właściwego miasta. W końcu kto chciałby mieć widok z okna na dyndających wisielców? Jednak taka lokalizacja nie wynikała z przyczyn estetycznych, a w każdym razie nie tylko i nie był to powód najistotniejszy. O wiele ważniejszy był fakt, że szubienicę i jej bezpośrednie otoczenie uznawano za miejsce przeklęte, do którego zwyczajny, porządny człowiek lepiej żeby się nawet nie zbliżał.

Dzisiaj wcale niełatwo nam zrozumieć, jakie były przyczyny takiego postrzegania szubienic, jednak bez wątpienia miało to silny związek z tym, że powieszenie było karą hańbiącą. W wyobrażeniu ludzi okresu staropolskiego, ale też i epok wcześniejszych, istotne było nie tylko to, czy wyrok odbierał życie, ale także w jaki sposób to czynił. Niejednokrotnie sądy miejskie łagodziły kary poprzez zamianę stryczka na... ścięcie.

Z naszej perspektywy wydaje się to niedorzeczne, jednakże w oczach ówczesnych różnica była zasadnicza. Ścięcie było karą honorową, wykonywano ją często na rynku miejskim (a więc w najbardziej prestiżowym punkcie miasta), powieszenie zaś ściągało na skazańca hańbę. Jego zwłok nie można było pochować w święconej ziemi, a co najwyżej w miejscu, w którym zginął,

zatem pod szubienicą. Pogrzeb, jeśli w ogóle, nie odbywał się zresztą prędko. Częścią kary była bowiem ekspozycja wisielca aż do jego całkowitego rozkładu. Wówczas resztki zwłok zakopywano w szubienicznym cieniu. Cel tego pastwienia się nad skazańcem był dwojaki: miała być to przestroga dla wszystkich, którzy chcieliby pójść w ślady złoczyńcy, oraz kolejny etap działań mających obdrzeć go z wszelkiej czci.

Kara śmierci przez powieszenie była hańbiąca, a niesława ta rozciągała się niemal na wszystkich i wszystko, co miało lub mogło mieć z jej wykonywaniem bezpośredni kontakt. Między innymi dlatego też zawód kata uznawano za „niegodne rzemiosło”, a podmiejskie miejsca straceń cieszyły się złą sławą.

Powodowało to liczne problemy choćby przy stawianiu szubienic. Nikt nie chciał w tym uczestniczyć, obawiając się mogącego wynikać stąd ostracyzmu społecznego. W zbiorach prawa niemieckiego powszechnie używanych przez sądy od XVI wieku aż do upadku Rzeczypospolitej, a wydanych po polsku przez prawnika Bartłomieja Groickiego, poświęcony jest temu zagadnieniu oddzielny artykuł. Dowiadujemy się z niego o istnieniu zwyczaju, według którego w budowie szubienicy musieli uczestniczyć wszyscy przedstawiciele cechu ciesielskiego i murarskiego, co miało zniwelować złą sławę (skoro w pracach uczestniczyli wszyscy, to nikomu nie można nic zarzucić). Wiedziony praktycznym zmysłem prawnik humanista zalecał, aby w celu ograniczenia kosztów losowano do tej roboty kilka osób, zastrzegając przy tym, że „gdzie by jeden cieśla albo rzemieślnik po tym śmiał drugiemu przyganiać, a jego tym sromocić, ma przepaść winę grzywnę złota albo srebra” (B. Groicki, „Ten Postępek wydan iest z Praw Cesarskich...”).

WISIELCY, CZARY I STRZYGI

Wzgórze szubieniczne było z jednej strony miejscem objętym złą sławą, z drugiej świadectwem władzy, jaką dysponowała rada i sąd miejski. Gdy w okolicznych wsiach dochodziło do

przestępstwa zagrożonego karaniem na gardle, lokalne sądy wiejskie musiały odesłać oskarżonego do miasta, gdyż same nie miały mocy wydawania takich wyroków. Zresztą w Rzeczypospolitej tylko miasta, i to nie wszystkie, zatrudniały katów. Trudno więc o bardziej czytelny znak mówiący zbliżającym się do bram miejskich, kto tu rządzi i jaką siłą dysponuje. To właśnie dlatego miejsca straceń znajdowały się na wzniesieniach, ponadto zaś często koło skrzyżowań dróg.

Groza i zła sława miejsc, gdzie wieszano przestępców wynikała także z innych przyczyn. W pobliżu szubienic wykonywano inne hańbiące kary śmierci, a więc na przykład palenie na stosie, łamanie kołem czy grzebanie żywcem. Obok szubienicy często stało też drewniane koło nasadzone na pał, w które wplątano zwłoki niektórych skazańców. Jak już wspomniałem, na wzgórzu szubienicznym grzebano traconych tutaj przestępców. Lecz nie tylko – w tej nieczystej ziemi chowano i inne osoby uznawane za niegodne normalnego cmentarza, przede wszystkim samobójców i ludzi zmarłych na torturach w trakcie dochodzenia sądowego. Ponadto w niedalekim sąsiedztwie znajdowały się doły rakarskie, gdzie kat i jego pomocnicy zakopywali padlinę sprzątniętą z ulic miejskich (co leżało w zakresie katowskich obowiązków).

Wzgórze szubieniczne było spowite atmosferą niesamowitości, złowróżbnej magii. Zastosowanie fragmentów ciała wisielca oraz jego ubrań lub sznura, na którym zawisł, w działaniach magicznych poświadczane jest na ziemiach polskich już od późnego średniowiecza. Najczęściej używano wisielczych palców bądź genitaliów: wrzucenie ich do beczki z piwem czy winem miało ściągać klientów do karczmy. W źródłach znaleźć też czasem można świadectwa stosowania w Polsce jakiejś formy „dłoni chwały”, czyli dłoni obciętej wisielcowi i poddanej zabiegom magicznym czyniącym z niej niezwykle artefakt mający ułatwiać zwłaszcza okradanie domów i otwieranie zamków. Bezpośrednio pod szubienicami rosnąć miał szczególnie obdarzony magiczną mocą pokrzyk – swojski i łatwiej dostępny

odpowiednik mandragory, nazywany dawniej też „wisielcem”. Współcześnie lepiej znany pod nazwą „wilcza jagoda”.

Jeśli tego wszystkiego byłoby mało, to przytoczę jeszcze ustalenia archeologów, które poświadczają w miejscach straceń pochówki określane jako „wampiryczne”: skazańców lub samobójców nie tylko grzebano na szubienicznych wzgórzach, ale także przebijano palem, przygniatano dużym głazem, obcinano głowę czy też składano do grobu twarzą do ziemi (raczej nie robiono tego wszystkiego na raz, choć czasem takie zabiegi były łączone). Wszystkie te działania miały zapobiec ewentualnemu powrotowi grzesznika z zaświatów w postaci strzygi, upiora.

Biorąc to wszystko pod uwagę, łatwo zrozumieć, że w pobliżu szubienic mało kto chciał mieszkać, a nawet unikano zbliżania się do nich bez potrzeby.

SZUBIENICZNY

Skoro już wiemy, jak straszną i hańbiącą była egzekucja przez powieszenie, moglibyśmy się spodziewać, że skazywano na nią złoczyńców wyjątkowo okrutnych, prawdziwych zwyrodniałców. Jak się jednak okazuje, karano w ten sposób przestępców najbardziej pospolitych – notorycznych złodziei. O ile początkujący rzezimieszek złodziejskiej profesji mógł liczyć na w miarę łagodny wyrok (chłostę, rzadziej obcięcie ucha lub dłoni), to złapany recydywista musiał pogodzić się z myślą, że zawiśnie.

Smutny koniec na szubienicy był nieodłącznym, naturalnym elementem kariery złodziejskiej. W księgach sądowych w 1581 roku jeden z przesłuchiwanym rzezimieszeków stwierdza o innym: „ten kradnie dawno, bo już osiwił, czas by mu wisieć” (cytat za M. Kamler, „Złoczyńcy...”). Sprawa miała się trochę inaczej, jeśli chodzi o złodziejki. Tych zwyczajowo nie karano stryczkiem, choć trudno powiedzieć, że spotykał je los łagodniejszy – ginęły poprzez utopienie.

Historycy obliczyli, że w okresie nowożytnym ponad 60% wszystkich przebadanych wyroków sądów miejskich w sprawach kryminalnych wydano za kradzież, z czego w niemal połowie przypadków orzeczono śmierć. I choć wiemy, że skazywano na nią przede wszystkim recydywistów, to jednak nadal wydawać to się może nieadekwatne w stosunku do wagi przestępstwa. Szczególnie gdy przypomnimy sobie, że za zabójstwo, o ile nie było dokonane na tle rabunkowym bądź też w sposób podstępny (np. za pomocą trucizny), odpowiadano niejednokrotnie tylko finansowo – wypłacając główszczyznę. Gdy zaś z różnych względów postanowiono jednak zabójcę skazać na śmierć, to nie spotykała go żadna z kar hańbiących, lecz ścięcie.

Ta dysproporcja wyda się chyba jeszcze bardziej rażąca, gdy zdamy sobie sprawę, że skazańcami rzadko kiedy byli wielcy złodzieje kradnący drogocenne przedmioty. W księgach sądowych spraw kryminalnych, nazywanych wówczas księgami „czarnymi” albo „smolnymi”, najczęściej mamy do czynienia z drobnymi złodziejaskami, którzy podwędzali niewielkie sumy, przedmioty o nieznacznej wartości czy wręcz jedzenie. A jednak, jeśli czynili swój proceder przez dłuższy czas, to nie wchodziło tu w grę to, co współcześnie nazywamy „niską szkodliwością czynu” – zostawali szubieniczkami.

TUŁACZKA

Kim zatem byli, jak wyglądało ich życie? Choć zdarzały się przypadki wyjątkowe, to jednak w zdecydowanej większości zawodowi złodzieje należeli do marginesu społecznego. Pośród prostytutek, żebraków, włóczęgów czy wędrownych muzykantów musieli czuć się najbardziej swojsko. Granice nie były ostre, chodziło przede wszystkim o przetrwanie. Jeśli mogło je zapewnić żebranie – żebrali, jeśli oszustwo – oszukiwali, a jeśli dorywcza służba u bogatego pana, to służyli. Niejednokrotnie zresztą w pewnym momencie okradali swego chlebodawcę i ruszali dalej w świat. Czasem jednak niektórzy specjalizowali się szczególnie w fachu złodziejskim i czerpali z niego swoje podstawowe dochody.

Tacy profesjonalni złodzieje nie należeli do osób osiadłych. Z ich zeznań wynika, że potrafili wielokrotnie przemierzyć cały kraj wszerz i wzdłuż. O łup było najłatwiej tam, gdzie tłoczno, a więc podczas jarmarków, odpustów czy sejmików szlacheckich – tam też dążyli. Gdy im się poszczęściło, mogli pozwolić sobie na zamieszkanie w podmiejskiej gospodzie czy karczmie. Znane są przypadki złodziei, którzy czynili z takiego przybytku bazę wypadową, skąd odbywali krótsze lub dalsze wędrówki do okolicznych wsi i miasteczek, w których dokonywali kradzieży. Karczmarz nie raz stawał się ich paserem, a rozróżnienie między zwykłą meliną i gospodą podłej konduity musiało bardziej uczciwym podróżnym sprawiać sporo trudności.

Jednak najczęstsze narracje mówią o wędrówkach z miejscowości do miejscowości, kradnięciu kur czy prostych, chłopskich ubrań w mijanych wioseczkach, rzezaniu mieszkań mieszczanom, a czasem włamywaniu się do ich piwnic lub domów. Charakterystyczny jest tu przykład skazanego przez sąd w Dobczycach w 1700 roku Mikołaja Kotlarskiego: „On nie pomnąc na przykazanie Boskie, ważył się różnym ludziom tak pieniądze, jako insze fanty kraść przez lat kielkanaście, tak nocnym sposobem, jako i dniowym [...] Naprzód nocnym sposobem ukradłem Niemcowi niejakiemu w Krakowie na świętej Annie ulicy w kamienicy płudry skórzane [...] zaszedłem aż do Poznania miasta [...] tam kłódkę do jatki ukręciszwy, ukradłem z tejże jatki łyżek srebrnych piąc i pieniędzy złotych 60 szelągami [...] będąc na ten czas w Warszawie, kiedy gorzały stajnie królewskie, ukradł łyżek srebrnych siedm” („Księga kryminalna miasta Dobczyc 1699-1737”, opr. M. Mikuła).

PROFESJONALIŚCI

Pośród staropolskich złodziei zaobserwować można czasem pewną specjalizację. Jak się wydaje, najbardziej cenioną przez nich samych była grupa kieszonkowców – „wyrażników”, „rzezi mieszkań”. W 1639 roku w Lublinie przesłuchiwany był niejaki Stanisław Urbański, który twierdził z pewną dumą: „W naszym

cechu kościołów nie łupają, tylko mieszki rzeżą. Nawet kto się w nocy bawi, w naszym cechu nie może być [...] z tymi złodziejami co komory łupają nie przestajemy i nie przypuszczamy ich do cechu swego dlatego, że my wszystko w dzień kradniemy, pocziwie, a nie w nocy jako złodzieje. Że u nas pieniądze zowią się omanem" (cytat za M. Kamler, „Złoczyńcy...”).

Choć ten kieszonkowiec wydawał się pogardzać złodziejami specjalizującymi się we włamaniach, to jednak była to również grupa specjalistów wysokiej klasy. Umiejętność operowania wytrychem, podrobionymi kluczami, dostania się do środka budynku po drabinie przez okno bądź wyciągnięcia przez nie ubrań za pomocą „ptaszka” (jak złodzieje staropolscy nazywali kij zakończony wbitym weń zakrzywionym gwoździem) – to wszystko także należało do niezwykłych zdolności.

Na obecnym etapie rozpoznania tego tematu przez historyków nie można ocenić, czy rzeczywiście istniały tak silne podziały między złodziejami różnych specjalizacji. Natomiast faktem jest, że niezależnie od tego, czy byli to „wyraźnicy”, czy włamywacze, to ci najbardziej zakorzenieni w profesji złodziejskiej posługiwali się specyficznym żargonem zwanym mową wałtarską bądź waltarską.

Pierwsze zapiski poświadczające istnienie takiego tajemnego języka pochodzą już z XVI wieku. Sędziowie próbowali go poznać, dlatego też czasem dopytywali się o znaczenie różnych dziwnych słów padających w trakcie zeznań. Stąd też wiemy, że staropolscy złodzieje nazywali siebie samych „buchaczami”, „machczikami” bądź „drzemcarzami” – w przypadku tych, którzy działali nocą. Na piwo mówili „beb”, na buty – „kawięta”, na wytrych – „odkiwadło”, na kieszeń – „sięgawka”, na gospodę – „kierzychota”, na szubienicę zaś – „wieja”.

ZŁODZIEJSKI LOS

W miarę doświadczony i sprytny złodziej musiał się jawić

zwykłemu mieszczaninowi jako postać dosyć niepokojąca. Różne sprawy o włamanie do zamkniętego domu lub piwnicy świadczą o tym, że przynajmniej niektórzy przestępcy potrafili wdrzeć się do najpilniej strzeżonych zakamarków. Dosyć często kończyło się to kradzieżą jakichś drobiazgów, ale czasem włamywacz mógł ograbić z majątku całego życia. Na postrzeganie złodziei wpływało także posługiwanie się dziwnym żargonem oraz wędrowny styl życia, krytykowany przez wszystkich osiadłych, porządnych obywateli niezależnie od stanu. Wszystko to razem sprawia, że możemy łatwiej zrozumieć, dlaczego złodziei tak się obawiano i z taką surowością ich karano. Nie bez znaczenia był też fakt, że procederem tym parało się naprawdę wielu.

Tu warto sobie zadać pytanie: skoro kary za kradzież były tak dotkliwe, skoro przed tak wieloma miastami stały uginające się pod skazanymi złodziejami szubienice, to dlaczego tylu ludzi podejmowało to ryzyko, i to często dla groszowych zdobyczy? Czyż surowość sędziów nie powinna skutecznie odstraszać potencjalnych amatorów cudzej własności? Przez cały okres staropolski prawo miejskie było równie bezwzględne dla łamiących siódme przykazanie, liczne źródła sądowe pokazują, że aż do rozbiorów z niezmienną ochotą skazywano w takich przypadkach na śmierć.

Oto mamy przykład sytuacji, w której surowa kara i stosunkowo wysoki odsetek wykrywalności przestępstwa nie jest w stanie go ograniczyć. Wydaje się, że przyczyna leżała w strukturze społecznej. Niemal połowa oskarżonych o zawodowe zajmowanie się złodziejstwem to byli młodzi ludzie wywodzący się z rodzin rzemieślniczych, w dalszej kolejności osoby, które pośród swoich głównych źródeł zarobkowania wymieniały zawody takie jak sługa, wyrobnik, żołnierz najemny czy wykonawca innych prostych, nie wymagających specjalnych kwalifikacji profesji (woźnica, strażnik miejski).

Ci pierwsi, najliczniejsi, byli to zazwyczaj prawdopodobnie młodszy synowie rzemieślników. Niemający dużych szans na przejęcie warsztatów po swoich ojcach, skazani w najlepszym

razie na pozostanie wiecznymi czeladnikami. W innych przypadkach, gdy mowa o włóczęgach, sługach lub żołnierzach, nierzadko mogli to być też zbiegli chłopci pańszczyźniani czy przedstawiciele biedoty miejskiej. Współcześnie użylibyśmy do ich określenia pojęcia marginesu społecznego. Wszystko to byli ludzie, którym społeczeństwo stanowe nie było w stanie zaproponować niczego lepszego niż ciężka, bardzo słabo płatna, a często też tylko dorywcza praca. Perspektywy kobiet z najbiedniejszych warstw społecznych były jeszcze gorsze. Służba albo prostytutka – poza tymi dwoma niewiele ról życiowych pozostawało im do odegrania. Nie dziwi chyba zatem, że dla niektórych o wiele atrakcyjniejsze wydawało się życie ryzykowne, ale swobodne i obiecujące przy odrobinie szczęścia wzbogacenie się – życie złodziejskie.

Autor: Łukasz Truściński

Źródło: [Histmag.org](http://histmag.org)

Licencja: [CC BY-SA 3.0](http://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)

BIBLIOGRAFIA

1. Paweł Duma, Grób alienata. Pochówki dzieci nieochrzczonych, samobójców i skazańców w późnym średniowieczu i dobie wczesnonowożytnej, Avalon, Kraków 2010.
2. Bartłomiej Groicki, Ten Postępek wydan iest z Praw Cesarskich, który Karolus V. Cesarz kazał wydać po wszystkich swoich Państwiéch, druk Łazarz Andrysowicz, Kraków 1582 [dostępna w wersji elektronicznej: Wielkopolska Biblioteka Cyfrowa, 25 kwietnia 2014, dostęp 29 września 2014, <http://www.wbc.poznan.pl/dlibra/doccontent?id=308555>].
3. Paweł A. Jeziorski, Margines społeczny w dużych miastach Prus i Inflant w późnym średniowieczu i wczesnych czasach nowożytnych, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2009.
4. Marcin Kamler, Złoczyńcy. Przestępczość w drugiej połowie XVI i w pierwszej połowie XVII wieku (w świetle ksiąg sądowych miejskich), Neriton, Warszawa 2010.

5. Andrzej Karpiński, Pauperes. O mieszkańcach Warszawy XVI i XVII wieku, PWN, Warszawa 1983.
6. Księga kryminalna miasta Dobczyc 1699–1737, opracował i wydał Maciej Mikuła, Wydawnictwo UJ, Kraków 2013.
7. Hanna Zaremska, Niegodne rzemiosło. Kat w społeczeństwie Polski XIV–XVI w., PWN, Warszawa 1986.